

O dyskusjach naukowych — głos przekorny

Ryszard Dadlez*

Dyskusja naukowa jest wymianą myśli, która ma służyć weryfikacji faktów i korygowaniu ich interpretacji w celu maksymalnego zbliżenia się do prawdy. Jest ona nieodzownym składnikiem postępu w nauce. Dlatego nie sposób przeceniać jej wartości i przydatności. Warto się jednak może zastanowić, czy dyskusje naukowe w uprawianej przez nas dyscyplinie spełniają tę rolę?

W codziennej praktyce mamy do czynienia z kilkoma rodzajami dyskusji, przy czym termin ten — jak zobaczymy niżej — rozumiem dość szeroko. Z każdym z nich miałem do czynienia (często wielokrotnie) w swym długim życiu zawodowym, dlatego czuję się uprawniony do podzielenia się z szerszym gronem tymi kilkoma uwagami.

Najpierw o dyskusjach ustnych. Na samym dole hierarchii znajdują się nieformalne spotkania dwóch lub kilkorga osób przy stole lub przy komputerze. Wyżej lokują się sformalizowane dyskusje na sesjach naukowych o różnej randze: od sesji zakładowych lub wydziałowych, z jednym odczytem (np. w PIG) przez ogólnoinstytutowe sesje wieloreferatowe po jeszcze większe sesje międzyinstytucjonalne. Obok tego można wyróżnić — poddane określonym

regułom — dyskusje na obronach rozpraw doktorskich i kolokwiach habilitacyjnych. Podobna hierarchia występuje na forach międzynarodowych: od monotematycznych spotkań różnych grup roboczych aż po sesje Międzynarodowego Kongresu Geologicznego.

Przejdźmy do dyskusji zarejestrowanych na piśmie. Obok publikowanych dyskusji i polemik na łamach czasopism naukowych zaliczam tutaj także niepublikowane recenzje lub opinie prac składanych do druku lub projektów badawczych i opracowań (zlecane np. przez Komitet Badań Naukowych), bądź publikowane, także w czasopismach. Dlaczego uważam, że te recenzje i opinie są — pomimo pewnych odrębności — także rodzajem dyskusji, o tym niżej.

Teraz rozpatrzmy po kolei wszystkie rodzaje dyskusji sformalizowanych, pozostawiając na razie na boku dyskusje nieformalne, wspomniane na samym początku. Na posiedzeniach naukowych, począwszy od najniższego stopnia hierarchii, panuje na ogół zasada wolnej wymiany zdań. Sądzę przy tym, że powszechnym powinien być zwyczaj — na ogół stosowany — by wyraźnie rozdzielać pytania do referenta od właściwych głosów w dyskusji. Pytania powinny padać bezpośrednio po referacie, gdyż mają one cel wyjaśniający i ułatwiają późniejszą dyskusję. Nato-

*Państwowy Instytut Geologiczny, ul. Rakowiecka 4, 00-975 Warszawa

miast druga, często stosowana reguła — reguła ostatniego słowa — nie jest właściwa. Jest to mianowicie zwyczaj, że na końcu zabiera głos referent ustosunkowując się (albo i nie) do głosów w dyskusji. Na tym posiedzenie się kończy. Jest to równoznaczne z odebraniem głosu osobom, których odpowiedź referenta nie satysfakcjonowała i sprawia, że słuchacz może wyjść z sali z przeświadczeniem o słuszności racji referenta, a nie jego ewentualnych oponentów. Można by to ulepszyć, stosując zasadę, która obowiązuje na obronach prac doktorskich, kiedy to — po odpowiedzi doktoranta na recenzje i głosy z sali — prowadzący pyta, czy recenzenci i słuchacze są zadowoleni z udzielonej odpowiedzi. Należy również unikać sytuacji, gdy wypowiedź dyskusyjna nie ma nic albo ma niewiele wspólnego z referatem. Bywają przypadki, gdy dyskutanci są wcześniej „zamówieni” przez referenta po to, by skierować dyskusję na boczne tory. W takich przypadkach ważna jest rola prowadzącego, który powinien takim wystąpieniom zapobiegać.

Dodatkowy kłopot jest z ilustracjami do referatu. Dawniej plansze ilustrujące wywody referenta były wywieszane na stelazach, co umożliwiało odwołanie się do nich w czasie dyskusji. Obecnie powszechny jest zwyczaj ilustrowania prelekcji przezroczami, często licznymi, które migają na ekranie jedno za drugim, uniemożliwiając ich dokładniejszą percepcję. W czasie dyskusji powrót do konkretnej ilustracji może sprawiać niejakie kłopoty. Nie znaczy to, bym chciał wracać do wcześniejszych zwyczajów, ale może jednak dało by się połączyć oba sposoby prezentacji, wywieszając w formie plansz najważniejszy materiał ilustracyjny.

Im wyżej spotkanie jest usytuowane w hierarchii i im większe grono jego uczestników, tym dyskusja ma się gorzej, przede wszystkim z braku czasu. Bywają takie zgromadzenia, gdzie czasu na dyskusję w ogóle się nie przewiduje. Często na dyskusję przewidziane jest standardowe pięć minut, a w tym czasie, w najlepszym razie, ledwie kilka osób może wygłosić parę prostych zdań. Jest to na pewno niewystarczające, ale jakie jest wyjście? Albo trzeba z góry uznać, że takie zgromadzenia nie są forum do dyskusji lecz tylko miejscem uzyskania informacji o postępie badań, albo też niech organizatorzy dokonują selekcji zgłoszonych referatów, by ich ilość ograniczyć i wygospodarować czas na dyskusję. Ale ta sprawa wykracza poza ramy tych rozważań. Przypominam sobie tylko, jak na posiedzeniu Rady Kongresu Geologicznego w czasie jednej z jego sesji, w 1984 r. delegat brytyjski zaatakował ów brak selekcji, określając część zgłoszonych referatów lapidarnym słowem *rubbish* (śmiecie).

Bywają wreszcie sytuacje, gdy na dyskusję przeznaczony jest czas po serii referatów. To oczywiście potęguje niedogodności wspomniane wyżej. Dyskusja jest rozproszona tematycznie, a do ilustracji wrócić jest jeszcze trudniej.

Jest charakterystyczne, że dyskusjom ustnym (podobnie zresztą jak pisemnym) towarzyszy znaczna inercja umysłowa. Zarówno referenci, jak i dyskutanci niełatwo korygują swoje poglądy i zdarza się często tak, że obie strony wychodzą z sali pozostając „przy swoim”. Wtedy może się okazać, że dyskusje są w ogóle nieprzydatne.

Przejdźmy do dyskusji na piśmie. Zaliczam tu, jak wspomniałem, także recenzje, chociaż powinny one różnić się od publikowanych polemik w dwóch aspektach. Po pierwsze, recenzja powinna być wyważona tzn. powinna podkreślać nie tylko negatywne lub dyskusyjne, lecz także pozytywne strony pracy. Tego nie czyni polemista, który

koncentruje się na krytyce. Po drugie, recenzent raczej nie powinien przeciwstawiać poglądom autora poglądów własnych, lecz powinien się ograniczyć do wyławiania błędów w sztuce, np. pomijania jakichś faktów, niezgodności z kanonami nauk geologicznych, błędów terminologicznych itp. Co do pierwszego warunku trzeba zauważyć, że bywają recenzje, ograniczone tylko do pochwał lub tylko do krytyki, co samo w sobie jest podejrzane. Jeśli chodzi o drugi warunek, jest on niekiedy naruszany, co sprawia, że recenzja zmienia się w polemikę.

Recenzje publikowane mają tę przewagę nad niepublikowanymi, że muszą być autoryzowane, gdy w przypadku recenzji niepublikowanych możemy mieć do czynienia z dokumentem anonimowym. Tak się dzieje obligatoryjnie z recenzjami zlecanymi przez KBN, w przypadku zaś recenzji prac, składanych do druku redakcje pozostawiają do uznania recenzenta, czy chce się ujawnić, czy nie. Jest to zwyczaj przejęty od redakcji czasopism zachodnich, chociaż zetknąłem się z przypadkiem, gdy redakcja w kwestionariuszu daje do zrozumienia, że woli, by recenzent się ujawnił.

Muszę od razu stwierdzić, że nie jestem zwolennikiem anonimowości, choćby dlatego, że — jak w przypadku każdego anonimu — adresat znajduje się w niewygodnej sytuacji. Staram się tego unikać, chyba że (jak w przypadku recenzji dla KBN) jestem do tego zmuszony przepisami. Dlaczego takie jest moje zdanie? Przede wszystkim trzeba się zapytać, czym kieruje się naukowiec podejmujący się recenzji, a nie zgadzający się na ujawnienie swego nazwiska? Być może, że powodem jest zwykła wygoda lub niechęć do wdawania się w dyskusję. Obawiam się jednak, że główną przyczyną jest dość powszechne u nas traktowanie każdego głosu dyskusyjnego, jako ataku na osobę, a nie na pogląd przez nią reprezentowany. Stąd obawa recenzenta przed kłopotami osobistymi, szczególnie gdy chodzi o recenzję pracy kogoś, kto stoi wyżej w hierarchii naukowej lub służbowej. Jest to bardzo ludzkie, ale prostszym wówczas wyjściem jest zrezygnowanie z recenzji. Przecież nikt nikogo nie może zmusić do podejmowania się tej roli.

Spójrzmy, co się dzieje, gdy recenzja jest anonimowa, szczególnie w przypadku pracy składanej do druku? Odbiorca znajduje się w sytuacji kogoś zaatakowanego na ulicy przez człowieka w kominiarce. Zdarza się tak, że w anonimowej recenzji są oczywiste nieścisłości, świadczące o tym, że recenzent albo nie zrozumiał pracy, albo wręcz nie zna tematu. Można oczywiście ustosunkować się do recenzji na piśmie, ale któż wtedy rozstrzygnie, kto ma rację? Tym sędzią musi być redaktor czasopisma, który po to powołał recenzenta, by uzyskać opinię fachowca, a zatem należy założyć, że na ogół na temacie zna się mniej niż autor i recenzent. Byłem kiedyś w sytuacji (wraz z dwoma współautorami), gdy nie mogąc pogodzić się z trzema anonimowymi recenzjami zwróciliśmy się do redakcji z prośbą, aby wpłynęła na recenzentów, by się ujawnili i by mogło dojść do bezpośredniej dyskusji między obu stronami. Rezultat: brak odpowiedzi i nie przyjęcie artykułu do druku, zresztą pod innym pretekstem. Czy jest to sytuacja zdrowa?

Teraz o polemikach publikowanych. Na początek chcę wyrazić zdumienie, że w polskiej literaturze geologicznej jest ich tak mało. Np. w ostatnich pięciu rocznikach *Geological Quarterly* znalazłem tylko dwie polemiczne wymiany zdań, a w *Przeglądzie Geologicznym* za ten sam okres

doliczyłem się ich kilkunastu. Jak na kilkaset artykułów, ogłoszonych drukiem w tym czasie, jest to za mało, zdecydowanie mniej, niż w poważnych czasopismach zagranicznych (np. dział *Forum* w amerykańskim miesięczniku *Geology*). Czyżby wszystkie poglądy głoszone w licznych artykułach były prawdą absolutną? Sądzę, że przyczyny unikania dyskusji są te same, co wymienione wcześniej przy okazji anonimowości recenzji, jeszcze bardziej wzmacnione przez konieczność ujawnienia nazwiska

Polemiki publikowane są bowiem — jak wspomniałem — autoryzowane, bo muszą być. Ale ich standard czasem odbiega daleko od ideału, co łatwo sprawdzić porównując je z owymi dyskusjami w czasopismach zagranicznych. Tutaj decydującą rolę ma redakcja czasopisma, która musi bardzo troskliwie sterować przebiegiem polemiki, przyglądać się jej treści, może nawet bardziej dokładnie niż zwykłemu artykułowi.

Po pierwsze, żelazną zasadą polemik powinna być zasada dwugłosu. Znaczy to że w przypadku dyskusji, poświęconej jednej konkretnej pracy redakcja udziela głosu polemście (lub polemistom) i w tym samym numerze publikuje odpowiedź autora (lub autorów) jeśli chcą oni w ogóle zabrać głos. Oba elementy noszą ten sam tytuł, co krytykowany artykuł z podtytułami, odpowiednio: „dyskusja” i „odpowiedź”. I na tym sprawa się definitywnie kończy. Nie wolno udzielać ponownie głosu polemistom, bo wtedy prowokuje się autora i sprawa może się ciągnąć *ad infinitum*.

Po drugie, wspomniany dwugłos musi być poddany ostrej dyscyplinie. Wypowiedź polemiczna powinna być zwięzła (na pewno nie dłuższa niż dyskutowana praca — czasopisma zagraniczne na ogół precyzują dopuszczalną długość polemiki); najlepiej, by była ona ujęta w punkty, poświęcone kolejnym krytykowanym elementom pracy. Z kolei odpowiedź autora musi być równie zwięzła i nie może ani na jotę odbiegać od spraw poruszonych w polemice, czyli — punkt po punkcie — przedstawiać kontrargumenty na tezy polemisty (lub też zawierać wyraźne stwierdzenie, że z jakąś tezą autor się zgadza i wycofuje się ze swego stanowiska, lub je modyfikuje). Nie wolno tolerować ani w polemice, ani w odpowiedzi „ucieczki na boki”, tzn. poruszania spraw, których w artykule wyjściowym nie było. Jeśli się na to pozwoli, to znowu nie wiadomo kiedy dyskusję zakończyć.

Nieco inna jest sytuacja, gdy krytyka czyjejś pracy — lub, ogólniej, czyichś poglądów — pojawia się, jako drugorzędny element artykułu, lub gdy artykuł zawiera krytykę więcej niż jednej pracy jakiegoś autora albo prac kilku autorów na zbliżony temat. Wtedy nie sposób stosować zasady jednego tytułu, pracę trzeba traktować, jako odrębny artykuł, po którym następuje wspomniany dwugłos.

W naszej praktyce wspomniane reguły są nader często naruszane. Głosy dyskusyjne bywają rozwlekłe, nieuporządkowane, a niekiedy odwołują się do problemów nieobecnych w dyskutowanej pracy. Z kolei w odpowiedziach autorskich — czasem wskutek owego chaosu w krytyce, ale czasem niezależnie — ich autorzy, zamiast punkt po punkcie zareagować na problemy poruszone w krytyce, przyjmują pozycję obronną, która polega na tym, że część zastrzeżeń (jak można się domyśleć dla nich niewygodnych) jest pomijana, a obok pojawiają się sprawy, o których w krytyce nie było mowy, np. atakowane są inne poglądy krytyków. Co się tyczy zasady dwugłosu, to

bywały przypadki, że — wskutek jej nieprzestrzegania — pojawiały się zamiast dwugłosów trójgłosy, a nawet czwórgłosy, a sprawa kończyła się obopólnym niezadowoleniem. Można zaryzykować stwierdzenie, że w takich przypadkach redakcją kierowały sympatie i antypatie osobiste i chęć udzielenia na koniec głosu tym sympatycznym na zasadzie „moje na wierzchu”.

Postulat, by zaatakowany miał z reguły głos ostatni jest z pozoru niezgodny z zasadą, o której mówiłem przy okazji referatów ustnych, tzn., by dyskutanci mieli pod koniec dyskusji jeszcze prawo głosu. Ale czym innym jest dyskusja ustna, a czym innym dyskusja na piśmie. Jak powiadali Rzymianie: *verba volant, scripta manent*.

Jeszcze słów kilka na temat temperatury polemik. Jest oczywiste i zgodne z etymologią tego słowa (*polemos* po grecku znaczy walka — patrz *Słownik wyrazów obcych* W. Kopalińskiego), że wymiana zdań może mieć ostry charakter, chodzi tylko o to, żeby nie przekraczać granic dobrego smaku. I tu znowu jest rola redakcji, która powinna wyczuć, gdzie owa granica przebiega. Nie powinno się dopuszczać do sytuacji, gdy w replice na bardzo wyważoną i kulturalną dyskusję pojawiają się liczne określenia typu: „bezsensowny”, „absurdalny”, „groteskowy”, „dyletancki” itp. Że wyznaczenie tych granic jest sprawą trudną, i że potrzebne tu jest także zwykłe poczucie humoru, niech świadczy parę przykładów z dyskusji, jaka rozgrywała się swego czasu wokół tektoniki płyt.

Jeden z przeciwników tektoniki płyt napisał, że poglądy zwolenników dryfu kontynentów: „... mają tylko jedną rzecz wspólną — wiarę, że dryf jest faktem. We wszystkich innych aspektach ich poglądy są tak różne, jak słoń skonstruowany w wyobraźni przez trzech ślepców ...” Inny podsumował dyskusję słowami: „... szanuję niezachwiane przekonania autora, które mnie nie przekonują. Nie jestem jednak skłonny do dalszych bizantyjskich dyskusji. Nie można użytkować tego, co chciałby kontemplować umysł, nie biorąc pod uwagę tego co widzą oczy. Dlatego nie nalegam dłużej. Każdy może mieć swoją wiarę i swoje upodobania ...”. Zaś jeden ze zwolenników tektoniki płyt, odnosząc się do niezwykle bogatej literatury cytowanej przez jednego z krytyków napisał, że może to: „... przyłoczyć przeciętnego geologa do tego stopnia, że ledwie będzie w stanie podnieść się i otrząsnąć, sprawdzając, czy jest jeszcze żywy ...”.

Wniosek ogólny, jaki można wysnuć z powyższych uwag jest taki, że „oficjalne” dyskusje w obojętnej formie bywają często mało konstruktywne. Byłoby inaczej, gdyby były one bardziej zdyscyplinowane. Najbardziej konstruktywne są dyskusje nieformalne w małych gronach. Przypominają one najbardziej zwykłą rozmowę przy kawie, a wiadomo, że z takich rozmów interlokutorzy mogą odnieść najwięcej korzyści. Ilustracje są wówczas łatwo dostępne, można się im dokładniej przyjrzeć i dyskutować ich treść „na gorąco”. To samo mogłoby się stać w przypadku publikowanych polemik, gdyby poddane one były zawsze wymienionym wcześniej ostrym regułom.

Ponieważ moja wypowiedź dotyczy dyskusji, zatem jest rzeczą naturalną, że stanowi ona zaproszenie do dyskusji. Wstępna wersja artykułu była przedmiotem oceny Jerzego Znoski, Ryszarda Wagnera i Marka Narkiewicza. Serdecznie Im dziękuję za uwagi, które przyczyniły się do ulepszenia tekstu. Ponoszę jednak pełną odpowiedzialność za poglądy tu wypowiedziane.